

emocje



str. 2

magazyn kulturalny RADIA WROCLAW KULTURA

ISSN 2544-1787

egzemplarz bezpłatny

jesień 2018



Stulecie urodzin wirtuoza skrzypiec

Półtora miesiąca przed powstaniem znów niepodległej Polski, urodził się jeden z najznakomitszych skrzypków XX wieku Henryk Szeryng. 1 marca 1988 roku Szeryng zagrał koncert w niemieckim Kassel, po czym zapadł w śpiączkę i nigdy

już się z niej nie wybudził. Zmarł dwa dni później. Ostatnim dziełem, które zabrzmiało pod jego dłońmi, był Koncert D-dur Johanna Brahmsa. Tym samym utworem debiutował w 1933 roku w Filharmonii Warszawskiej jako piętnastolatek. Czytaj str. 3

OBECNOŚĆ, ISTOTA, TOŻSAMOŚĆ – to tytuł wystawy ponad 100 prac Magdaleny Abakanowicz, które można do końca roku oglądać w Centrum Nauki i Sztuki Stara Kopalnia w Wałbrzychu – czytaj str. 4



Abakany w Starej Kopalni



MOC MOORE'A

Wystawa prac słynnego brytyjskiego rzeźbiarza Henry'ego Moore'a pt. „Moc natury” w Pawilonie Czterech Kopuł. Czytaj str. 5

3

splosoby
jak odbierać
Radio Wrocław
Kultura

1



poprzez darmową
aplikację mobilną



2

tradycyjny odbiornik
(koniecznie z cyfrowym
systemem DAB+)

3



na stronie
www.radiowroclawkultura.pl
(tutaj można nas także
zobaczyć w wysokiej jakości
transmisji wideo)

Karol Maliszewski
Ścieżką w kierunku Góry Świętej Anny

Sam, po waszych śladach, więc już nie sam, stokróż samotniejszy, mgliście wspólnoto, rozpoznawana po kształcie kalenic, zapadających się w czasie i mgle; może na wiosnę ruszymy miejsce z miejsca, może przesadzimy, by doznać, nie wiem; może wzbudzimy zaufanie do szcztątków poddających się dalszej obróbce, podających się za. Nie sądzę, żeby coś stało się jasne, w mroku widzimy więcej, szeroko otwierając zeszyty, pełne szlaczków syjących się z niedosłej mandali; ale dokąd niby mielibyśmy dojść na wiosnę, ruszając już teraz, po starych śladach, tak ładnie wyciętych w śniegu; teatr pytań, publiczność wstaje z miejsc, idzie ława, za świerkiem świerk.



Karol Maliszewski jest laureatem Emocji – Nagrody Radia Wrocław Kultura w dziedzinie „Literatura”. Wiersz pochodzi z przyszłego tomu „Wieczność i inne zajęcia”.

AMERICAN FILM FESTIVAL PO RAZ DZIEWIĄTY

Teraz dziewiątka, za rok okrągły jubileusz i może dla American Film Festivalu nowy początek w innej rzeczywistości. Jeśli uznani artyści – patrząc na kolegów i koleżanki przyjmujących sute czeki od platform streamingowych – sami chętnie się tam przeniosą.

Jeden z najbardziej prestiżowych festiwali na świecie, MFF w Wenecji, wygrała „Roma” Alfonso Cuaróna. To film Netflixa. I historyczny moment. Filmy właśnie wyszły z kina i są w naszych domach. Na tym samym festiwalu można było zobaczyć inną produkcję Netflixa „The Ballad of Buster Scruggs” – pierwszy serial braci Coen, autorów „Fargo” czy „Big Lebowski”.

Niewątpliwie ulubieńcy American Film Festivalu Bracia Duplass właśnie podpisali umowę, na mocy której ich następne cztery filmy trafią na platformę. Zresztą wcześniej zrobili „Togetherness” dla HBO. Nazwisk filmowców, którzy rezygnują z kredytów pod hipotekę na realizację wymarzonego dzieła przybywa. Zal Batmanglija i Brit Marling odpowiedziałni za m.in. „Drugą Ziemię”, dla Netflixa zrobili „The OA”. Król kina niezależnego Noah Baum-



bach nakręcił „The Meyerowitz Stories”. Zresztą dobrze na tym wyszedł, bo z filmem trafił na festiwal w Cannes.

Ale Cannes filmów Netflixa pokazywać (na razie) nie zamierza. W zeszłym roku właśnie „The Meyerowitz Stories” i „Okja” wywołały burzę. Przewodniczący jury Pedro Almodovar powiedział, że nie zamierza nagradzać filmów, których później nie będzie można zobaczyć na wielkim ekranie. Spór o tradycję wydaje się jednak zaklinaniem rzeczywistości. Jeżeli festiwal nie dogadają się z Netflixem, Amazonem czy niedługo wchodzącym na rynek streamingowy Disneyem, same się zmarginalizują, a widzowie pójdą tam gdzie są... filmy.

Na przykład filmy Martina Scorsese. Tak „The Irishman” będzie do zobaczenia na Netflixie.

Co się stanie z American Film Festival? Pewnie będzie miał się dalej świetnie. Doskonała współpraca organizatorów z amerykańskimi dystrybutorami co roku daje nam program przepakowany znakomitymi filmami. Może 20. edycja będzie do obejrzenia w Internecie, jako jedna z zakładek którejs platformy, a może filmy na pokazach będą wyświetlane bezpośrednio z aplikacji?

W tym roku cieszymy się kinem jeszcze tradycyjnie: siedząc

w wygodnym fotelu i oglądając przeboje Sundance, Toronto, retrospektywy Hala Ashby'ego, porównując najnowszy remake „Narodzin gwiazdy” (wchodzi na ekrany kin 30 listopada, więc na AFF specjalna przedpremiery) do poprzednich. Lady Gaga i Bradley Cooper vs. Barbra Streisand i Kris Kristofferson. Bądźmy pewni, że takich pojedynków w erze streamingu też nie zabraknie.

Krzysztof Majewski
KULTURA DAB+Film,
piątek,
godz. 16:00–19:00
(powtórka
w sobotę od 9:00)



NIEZAPOMNIANI MISTRZOWIE



100 lat temu, półtora miesiąca przed powstaniem znowu niepodległej Polski, urodził się jeden z najznakomitszych skrzypków XX wieku Henryk Szeryng.

1 marca 1988 roku Szeryng zagrał koncert w niemieckim Kassel. Po czym zapadł w śpiączkę i nigdy już się z niej nie wybudził. Zmarł dwa dni później. Ostatnim dziełem, które zabrzmiało pod jego dłońmi, był Koncert D-dur Johannesa Brahmsa. Tym samym utworem debiutował w 1933 roku w Filharmonii Warszawskiej jako piętnastolatek, wychowany w stolicy, urodzony w... Żelazowej Woli. Gdyby został przede wszystkim kompozytorem, mówilibyśmy

zapewne o „Chopinie skrzypiec”, ale Szeryng był przede wszystkim wirtuozem (choć także komponował – uczył się tego u Nadii Boulanger tuż przed wojną w Paryżu) – wyjątkowym Szeryngiem skrzypiec.

W końcu lat 1970. zapytał go dziennikarz meksykańskiego dziennika Excelsior, jak spędziłby ostatnią godzinę życia. Odpowiedź? „Zagrałbym koncert Brahmsa”. Dziesięć lat później właściwie tak się stało.

Był niezwykle uzdolniony, co zauważono od razu. Przyjaźnił się z Bronisławem Hubermanem (również pochodzenia żydowskiego), doradził, żeby wysłać dziesięciolatka na naukę za granicę, do Karla Flescha. Swojego prze-

MUZYKA TO NAJSZLACHETNIEJSZY JĘZYK

sora Henryk wspominał zawsze z czułością i uznaniem, choć – przyznawał – bywał krnąbrnym uczniem, nie zawsze się z pedagogiem zgadzając. Grupę studentów Flescha – który lubił zbierać wszystkich w sali, by wymieniali się spostrzeżeniami – tworzyli wtedy tacy późniejsi wielcy jak: Ida Haendel, Roman Totenberg, Joseph Wolfsthal czy Ricardo Odnoposoff.

Mówił, że skrzypce to bardzo zadowolony instrument, że związek z nimi jest jak małżeństwo. Najdłużej grał na tych wykonanych przez słynnego Guarneriego del Gesu, zwanych „Leduc” (francuskie słowo le duc znaczy książę). Tak uważał sam Szeryng. Ale są źródła, które dopowiadają tę historię. Podobno „Leduc” (ostatnie dzieło lutnika z Cremony) były gotowe w 1745 roku, a więc już kilka miesięcy po śmierci del Gesu. Musiała je zatem dokończyć żona Katarina. Być może stąd bierze się ich przepiękne brzmienie. Szeryng wyznał, że nigdy nie miał zamiaru próbować innych skrzypiec. Pozostał tym wierny, bo – jak twierdził – skrzypce są zadowolone, mają uczucia. Nienawidzą, gdy się je zostawia. Chęć by grać na nich często i nie dzielić się

nimi z nikim. Zwracał też uwagę, że mają kaprysy i humory, nie zawsze odpowiadają tak jak byśmy pragnęli, a dźwięk zależy od wielu różnych czynników, od temperatury powietrza, ciśnienia, pogody, nie tylko formy muzyka.

W 1934 roku młody Henryk nie znalazł jeszcze swych „Leduc”, ale nie przeszkadzało mu to zachwycać słuchaczy. Istnieje autograf Artura Toscaniniego, który wpisał skrzypkowi do programu jego wiedeńskiego występu jedno słowo: Bravo!! (z dwoma wykrzyknikami). Słynny dyrygent usłyszał wtedy w interpretacji Szerynga autorską Fantazję, ale też utwory Wieniawskiego i Szymanowskiego. Pierwsze skrzypce z historią znalazły się w jego rękach w 1937 roku, kiedy kończył paryskie konserwatorium z pierwszą nagrodą. Była to „Święta Teresa” (1683) Andrei Guarneriego. Grał na nich Camillo Sivori, jedyny uczeń Paganiniego. W 1974 roku Szeryng darował je miastu Meksyk. Zresztą, przez całe życie był hojny, fundując instrumenty muzykom. Izraelskim Filharmonikom założył specjalny fundusz na zakup instrumentów, za co wyróżnili go honorowym członkostwem. Koncertmistrzowie orkiestry w Monte Carlo grają dziś na sprezentowanym księciu Rainierowi przez Szerynga „Mesjaszu” – kopii tak nazwanego stadivarusa autorstwa Jean-Baptiste'a Vuillaume'a.

konania, dedykowano utwory. W październiku 1965 roku zagrał z Nowojorkczykami w Carnegie Hall koncert skrzypcowy Chaveza, dyrygował Leonard Bernstein. Dla wydawnictwa Schott opracował na nowo sonaty i partity Bacha, którego wysoko cenil, podobnie jak Brahmsa czy Beethovena. W 1970 roku odnalazł (w domu prawnucelek kompozytora) zaginiony dotąd trzeci koncert Paganiniego. Interpretację Szerynga do dziś uważa się za niezrównaną.

Z Polską również łączyły go zawsze bliskie relacje. W 1975 roku jego występ (z koncertem Beethovena, utworami Elsnera, Vivaldiego i Szymanowskiego) otwierał w Warszawie IX Konkurs Chopinowski – ten, którego zwycięzcą został Krystian Zimerman. Dwukrotnie był jurorem poznańskiego Międzynarodowego Konkursu im. Wieniawskiego. Fundował stypendia dla polskich muzyków. Na I Ogólnopolskim Konkursie Skrzypcowym we Wrocławiu, w 1959 roku, otrzymała je Kaja Danczowska. Jednego ze swoich stradivariusów chciał Szeryng podarować warszawskiej Filharmonii Narodowej, ale – jak opowiada jedyny dziś Polak grający na skrzypcach Stardivariego Janusz Wawrowski – nie wyraziła na to zgody partia.

Szeryng (przypomnijmy: poliglota) mawiał, że muzyka jest najszlachetniejszą mową, przynoszącą radość, inspirację, pokój. Uspokajał: nie trzeba być konsersem, by docenić muzykę. Być dobrym słuchaczem to mieć otwarte serce i ducha. W książce „The Way They Play” – poświęconej skrzypcom i skrzypkom – Samuel Applebaum przytoczył motto Henryka Szerynga: „Dzielić się to dbać o innych; oddychać to znaczy pragnąć; pragnąć to mieć; mieć to dawać; dawać to kochać; kochać znaczy żyć”.

POWIEDZIELI W RADIU WROCLAW KULTURA

Krzysztof Koziółek

„Imię pani” to kryminał retro Krzysztofa Koziółka, autora, który lubi umieszczać akcje swoich powieści sensacyjnych w latach 30. ub. wieku w już hitlerowskich Niemczech, na Dolnym Śląsku, choć za każdym razem w innej przestrzeni. „Imię pani” dzieje się w 1934 roku, głównie w opactwie benedyktynów w Krzeszowie (niegdysiejszym Gruessau). Zagadkę serii morderstw rozwiązuje przebywający tam na urlopie komisarz Gustaw Dewart.

Krzysztof Koziółek:
To jest ogromna frajda dla czytelników, gdy za każdym razem mają coś innego, inną przestrzeń do poznania. Oczywiście, dla mnie to też jest wyzwanie, bo muszę każde miejsce odkryć na nowo, przekopać się przez setki czy tysiące stron. Ja mam taką zasadę, że tam, gdzie jest mój bohater, jestem



też ja, z aparatem fotograficznym, notatnikiem, ołówkiem. Najpierw sam muszę wszystko przejść, przejechać, a dopiero potem wysyłam tam bohaterów swoich książek. Dla mnie zatem to też wyzwanie, ale taki płodowian również działa na moją korzyść, bo nie kiszę się własnym sosie. A to, że te

moje kryminały retro dzieją się w tak burzliwych czasach na terenach Dolnego Śląska, kiedy naziści byli u władzy, to i plus, i minus jednocześnie. Zbieranie materiałów jest bowiem czasem bardzo wyczerpującym zadaniem. Miałem okres, gdy esesmani śnili mi się po nocach. To już nie było przyjemne.



PROGRAM RADIA WROCLAW KULTURA

PNIEDZIALEK	WTOREK	ŚRODA	CZWARTEK	PIĄTEK	SOBOTA	NIEDZIELA
0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 5:00 GRAMY PO POLSKU 9:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 15:00 NASZA HISTORIA 16:00 KULTURA DAB+ MUZYKA (goście, recenzje, komentarze) 19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 20:00 KONCERT 21:00 MUZYCZNE MIASTO (muzyka z Wrocławia)	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 5:00 GRAMY PO POLSKU 9:00 KULTURA DAB+ MUZYKA (powtórka) 12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 15:00 REPORTAŻ 16:00 KULTURA DAB+ TEATR (goście, recenzje, komentarze) 19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 20:00 WIECZÓR Z KULTURĄ 21:00 ŚCIANA DŹWIĘKU (muzyka rockowa)	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 5:00 GRAMY PO POLSKU 9:00 KULTURA DAB+ TEATR (powtórka) 12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 15:00 NASZA MOWA (poradnik językowy) 16:00 KULTURA DAB+ SZTUKI WIZUALNE (goście, recenzje, komentarze) 19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 20:00 VARIACJE (muzyka klasyczna) 21:00 NIE BYŁO GRANE (muzyczne nowości)	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 5:00 GRAMY PO POLSKU 9:00 KULTURA DAB+ SZTUKI WIZUALNE (powtórka) 12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 15:00 POWIEŚĆ (książka w wersji audio) 16:00 KULTURA DAB+ SZTUKI WIZUALNE (goście, recenzje, komentarze) 19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 20:00 MUZYCZNE ARCHIWUM 21:00 STREFA POŁUDNIA (muzyka z USA)	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 5:00 GRAMY PO POLSKU 9:00 KULTURA DAB+ LITERATURA (powtórka) 12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 15:00 REPORTAŻ 16:00 KULTURA DAB+ FILM i SERIAL (goście, recenzje, komentarze) 19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 20:00 MUZYCZNE ARCHIWUM 21:00 STREFA POŁUDNIA (muzyka z USA)	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 5:00 GRAMY PO POLSKU 9:00 KULTURA DAB+ FILM i SERIAL (powtórka) 12:00 AKADEMIA MŁODYCH RADIOWCÓW (audycja dla dzieci) 13:00 MUZYCZNE MIASTO (powtórka) 15:00 ŚCIANA DŹWIĘKU (powtórka) 17:00 NIE BYŁO GRANE (powtórka) 19:00 VARIACJE (powtórka) 20:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA 8:00 POWIEŚĆ (powtórka) 9:00 NASZA HISTORIA 10:00 REPORTAŻ (powtórka) 10:30 NASZA MOWA 11:00 ZAMIESZANI W KULTURĘ (wywiady) 12:00 STUDIO 202 13:00 MUZYKA LEGENDARNA (powtórka) 15:00 STREFA POŁUDNIA (powtórka) 17:00 DŹWIĘKI ŚWIATA (muzyka różnych kontynentów) 19:00 ODZYSKANE ŹRÓDŁA (polski folk) 20:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA

ABAKANY W STAREJ KOPALNI

OBECNOŚĆ, ISTOTA, TOŻSAMOŚĆ – to tytuł wystawy ponad 100 prac Magdaleny Abakanowicz, które można do końca roku oglądać w Centrum Nauki i Sztuki Stara Kopalnia w Walbrzychu. To retrospektywa przygotowana wspólnie z kuratorką Marią Rus Bojan, w której został położony znaczący akcent na wieloletnią współpracę artystki ze zmarłym niedawno Mariuszem Hermansdorferem, byłym szefem wrocławskiego Muzeum Narodowego – podkreśla Magdalena Mielnicka z Fundacji All That Art, organizującej wydarzenie: – *Wystawa jest poświęcona pamięci przyjaciela i wieloletniej*

współpracy Mariusza i Magdaleny. Postać dyrektora Hermansdorfera to łączy do obecności Magdaleny Abakanowicz w Wrocławiu. Ta wystawa jest wydarzeniem nie tylko lokalnym. Abakanowicz to świat, jej nazwisko liczy się w świecie sztuki, otwiera wszystkie drzwi, zna je każdy, także ci, którzy tworzą potężne kolekcje. Stąd również obecność międzynarodowej

kuratorki Marii Rus Bojan, specjalizującej się w rzeźbie, zajmującej się twórczością wielkich artystów. A poza tym, myślę, że teraz zaczyna się nowy czas dla Starej Kopalni, jej przestrzeń zostanie zauważona jako znakomite miejsce wystawiennicze.

Maciej Przystański
KULTURA DAB+ Sztuka,
środa, godz. 16:00-19:00
(powtórka w czwartek
od 9:00)



foto: Marcin Jagiellencz



ARETHA, PORTRET NIEUPIĘKSZONY

Po śmierci Arethy Franklin ukazało się wiele tekstów i opracowań poświęconych artystce, ale, jak to w podobnych przypadkach bywa, najczęściej nie wychodziły one poza ogólniki. Komu to nie wystarczy i chciałby zapoznać się z pogłębionym portretem wokalistki, powinien sięgnąć po wydaną u nas biografie „Respect” autorstwa Davida Ritza, w przekładzie wrocławianki Dobromiły Jankowskiej.

Interesująca jest już sama historia powstania tej książki. Ritz długo dobijał się do swej bohaterki, trwało to nawet nie lata, a dekady. Spisanie jej wspomnień było jednym z jego największych pisarskich marzeń. Rzecz w tym, że gdy marzenia się w końcu

spełniły, nastąpiło wielkie rozczarowanie. Czekając na zgodę artystki, Ritz pisał kolejne książki, min. biografie Raya Charlesa, Marvinina Gaye’a, B.B. Kinga, Smokeya Robinsona i Jerry’ego Wexlera, a więc ludzi, którzy świetnie Arethę znali. Co za tym idzie, pracując z innymi, nieustająco sięgnąć po wydaną u nas biografie „Respect” autorstwa Davida Ritza, w którym w końcu powiedziała „tak”, uważał za jeden z najszcześniejszych w życiu. Niestety, wtedy napisane dzieło stało się powodem wielkiej frustracji autora, choć sama artystka była bardzo zadowolona. Ritz wiedział jednak, że spisana pod jej dyktando historia nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. „Kiedy Aretha patrzy w lustro, widzi zupełnie inną

kobietę niż my”, powiedziała kiedyś pisarzowi siostra artystki Erma. Nie uznał więc zadania za wykonane. Kiedy Franklin zaproponowała mu współpracę przy kolejnej książce na swój temat i zastrzegła, że wszystko – tak jak za pierwszym razem – będzie się odbywało pod jej pełną kontrolą, Ritz odmówił i bez jej zgody zaczął pisać „Respect”.

To jest już jego wersja historii Arethy Franklin. A trzeba powiedzieć, że David Ritz poznał tę historię lepiej niż ktokolwiek. Pracując nad książką, ale także nad innymi biografiami, choćby tymi wspomnianymi wcześniej, przeprowadził setki rozmów. Spotkał się z praktycznie wszystkimi, którzy w taki czy inny sposób artystkę

David Ritz

RESPECT
ŻYCIE
ARETHY FRANKLIN

W swojej książce wyznała, że nie chciała być bohaterką. W swoim portrecie w książce „Respect” autorstwa Davida Ritza, w przekładzie wrocławianki Dobromiły Jankowskiej, opowiada o swoim życiu i karierze. To jest już jego wersja historii Arethy Franklin. A trzeba powiedzieć, że David Ritz poznał tę historię lepiej niż ktokolwiek. Pracując nad książką, ale także nad innymi biografiami, choćby tymi wspomnianymi wcześniej, przeprowadził setki rozmów. Spotkał się z praktycznie wszystkimi, którzy w taki czy inny sposób artystkę



znali, bądź z nią współpracowali – od członków rodziny poczynając, na ludziach z muzycznej branży kończąc. Rozmawiał z siostrami, bratem, który przez lata był przy okazji menedżerem Arethy, z wydawcami, producentami, muzykami, menadżerami. Co ważne, z wieloma z tych osób zdążył się zaprzyjaźnić, a więc docierał do informacji dla innych niedostępnych. Wiele jest takich informacji, bo Aretha Franklin robiła, co mogła, by wzmocnić ludziom, że wiedzie żywot idealny. I że tak było zawsze. Fakt: nigdy nie zaznała biedy, dorastała w ręcz w dostatku. Szybko zaczęła przejawiać wybitne muzyczne uzdolnienia i miała wymarzone warunki do ich rozwoju. Była w końcu córką niezwykle charyzmatycznego, cieszącego się wielkim autorytetem wśród czarnej

MOC MOORE’A

Wystawę prac słynnego brytyjskiego rzeźbiarza Henry’ego Moore’a pt. „Moc natury” można oglądać w Pawilonie 4 Kopuł, oddziale wrocławskiego Muzeum Narodowego. – *Ta wystawa wpisuje się w tegoroczny jubileusz 70-lecia instytucji, a rzeźby Moore’a pokazujemy nie tylko w galerii, także w plenerze – mówi Piotr Oszczanowski, dyrektor muzeum. – To idea, która od początku nam towarzyszy w Pawilonie Czterech Kopuł, aby jedna z wystaw w roku była dedykowana ar-*

tystom, zjawiskom artystycznym rangi światowej. Dzisiaj mamy Henry’ego Moore’a. To wyjątkowe wydarzenie także dlatego, że sam pawilon i jego otoczenie tworzą niezwykłą przestrzeń dla tych rzeźb. Henry Moore szczególnie dbał o relacje między dziełem sztuki a otoczeniem, czyli w jego przypadku najczęściej naturą. To był permanentny dialog z naturą, nawet w pewnym sensie rywalizacja. Eksponowanie jego prac w tym kontekście to spełnienie koncepcji samego artysty.

– *Moore starał się przenosić świat ukształtowany przez naturę w obszar swojego świata rzeźby, a jednocześnie bawił się ze skalą. To go pasjonowało: jak skala zmienia się poprzez działania optyczne – dodaje Barbara Banaś, wicedyrektor Muzeum Narodowego. – Słynne są jego próby z badaniem przestrzeni i bryły w przestrzeni,*

kiedy przygotowywał niewielkie obiekty rzeźbiarskie, wychodził w plener, ustawiał je bardzo blisko obiektywu aparatu. W ten sposób one się w kadrze monumentalizowały, a Moore potrafił sobie wyobrazić, jak w innej skali będą mogły zagrać w przestrzeni. Wystawę 23 prac Moore’a, pochodzących z różnych lat półwiecza jego kariery, widzieć wcześniej zwiędzając Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, po Wrocławiu (na wiosnę) trafi ona do Muzeum Narodowego w Krakowie. Obejrzeć Moore’a we Wrocławiu można do 20 stycznia 2019.



foto: Radosław Bugajski

społeczności pastora, przez które dom przewijali się najwybitniejsi artyści tamtych czasów. Często zresztą chwalił się przed nimi swoją niezwykle utalentowaną córką. A jednak nie trzeba wcale zbyt uważnie patrzeć, by dostrzec nie tyle rysy, co wielkie szczyliny na tym bajkowym obrazku. Gdyby pozwolono artystce autorzować tę książkę, niewiele by z niej zostało. Bo ona sama nigdy nie przyznała się do jakiegokolwiek słabostki. Idealizowała swoje życie, przecząc faktem. Nigdy nie przyznawała więc, że zostawiła ją matka, co było dla małej Arethy potężnym ciosem: że regularnie bił ją pierwszy mąż (ona, oczywiście, przedstawiała związek jako idealny); że miała poważne problemy z alkoholem, z którymi akurat sobie poradziła. Pomimo dostatku, nie miała normalnego dzieciństwa. Starsi koledzy i koleżanki z zespołów gospel to zdecydowanie nie było grono pobożnych, spędzających czas na czytaniu Biblii muzyków, jak mo-

na by sądzić. „Czy prowadziliśmy wtedy aktywne życie seksualne? Powiedziałbym raczej nadaktywne” – mówi w książce przyjaciółka Arethy z tamtych czasów, inna wybitna wokalistka Etta James. W rezultacie, Aretha – nie mając ukończonych piętnastu lat – miała już dwojkę urodzonych dzieci. Środowiskowa plotka, niepotwierdzona, głosiła nawet, że ojcem pierwszego z nich był jej własny ojciec pastor, który swoją drogą miał dosyć gwałtowny charakter i skłonności do przemocy. Z całą pewnością był postacią kontrowersyjną. Czego Aretha również nigdy by nie potwierdziła. Gdyby chodziło o to, że artystka po prostu chroniła swoją prywatność, można by ją zrozumieć. Tyle że ona odczuwała wręcz przyłby czytania o sobie w gazetach, ale

czytania wersji swego życia wykreowanej przez samą siebie. Podrzucała więc regularnie zaprzyjaźnionym mediom zmyślane informacje. Potrafiła nawet opowiadać o swoich życiowych partnerach, którzy jak twierdzą jej najbliżsi zwyczajnie nie istnieli. Od najwcześniejszego dzieciństwa przejawiała wybitny talent muzyczny. Gdy już zaczęła karierę nie wystarzało jej jednak uznanie krytyków i jakiejś wąskiej grupki fanów. Interesował ją wyłącznie sukces na wielką skalę. Trochę czasu zajęło, zanim udało jej się go osiągnąć. Stało się to za sprawą kompozycji Otisa Reddinga „Respect”, która dała teraz tytuł książce Davida Ritza. „Respect” to fantastyczny kawałek, rzecz w tym, że z czasem Aretha chętnie szła na wątpliwe artystycznie kompromisy,

byle tylko trafić regularnie na listy przebojów. Gdy już trafiła na szczyt, pojawiła się u niej obsesja utrzymania się tam. Niezwykle, że nigdy nie pozbyła się zazdrości o rywalki z branży. Nawet własne siostry, również muzycznie utalentowane, postrzegano jako zagrożenie. Na tym najwcześniejszym etapie kariery, myśli, że któraś z nich mogłaby odnieść sukces przed nią, nie dawała jej spokoju. Mimo wszystko zawsze była jakos niepewna siebie. „Ta dziewczyna nawet nie zdaje sobie sprawy jak jest dobra”, mówi w książce jej była mentorka. Dlatego też Aretha Franklin tak bardzo ucieszyła się, gdy magazyn „Rolling Stone” uznał ją za wokalistkę/wokalistkę wszech czasów. David Ritz ujawnia wiele historii, których wyciągnięcia na światło dzienne artystka by sobie nie życzyła bądź też, inaczej mówiąc, których w ogóle do siebie nie dopuszczała. A jednak skandal nie był celem autora. Ritz był zawsze fanem Arethy, a przy okazji niezwykle kompetent-

Odczuwała wręcz przymus czytania o sobie w gazetach, ale czytania wersji swego życia wykreowanej przez samą siebie.

David Ritz „Respect. Życie Arethy Franklin”. Wyd. Czarne, przeł. Dobromiła Jankowska

ŚCIANA DŹWIĘKU, wtorek, godz. 21:00 (prezentacja w sobotę o 15:00)

RADIO WROCLAW KULTURA

Jerzy Węgrzyn

STEVEN WILSON: Zadeedykowałem muzyce swoje życie

W trakcie ponad dwugodzinnego show Steven Wilson zaprezentował fanom obecnym na koncercie we wrocławskiej Hali Stulecia utwory z najnowszej płyty „The Bone” oraz przypomniiał kilka starszych kompozycji nagrywanych pod szyldem Porcupine Tree. Zapowiedział też publikację filmu z obecnej trasy.

jest taka sama. Kompletnie inną są za to solówki gitarowe czy klawiszowe, ale ich długość zawsze musi być taka sama. Uzyskałmy kompromis.

Czy komponujesz w trakcie trasy koncertowej, na przykład przesiadając w pokoju hotelowym?

Próbowałem tak pracować przez te wszystkie lata, ale nie potrafię tego robić. Kiedy tworzę muzykę, muszę być otoczony wszystkimi instrumentami, które mam. Nie wystarczy mi granie na gitarze akustycznej w pokoju hotelowym. Muzyka pochodzi z wielu przeróżnych miejsc, czasami może być oparta na fortepianie, czasami na gitarze, rytmie perkusji czy riffie basu, a nawet na wokalu. Próbowałem, ale nie potrafię komponować w inny sposób. W trasie próbuję zajmować się mikśowaniem i edycją. Przez ostatnie tygodnie zajmowałem się obróbką DVD, które zarejestrowaliśmy kilka miesięcy temu. Przez to, że mój proces tworczy przebiega w taki, a nie inny sposób, muszę być w domu, żeby pracować nad czymś nowym.

Kiedy w takim razie ukaże się



wspomniane DVD?

Sądzę, że w listopadzie. Nie mamy jeszcze ostatecznej daty premiery.

Akurat przed świętami.

I przy okazji moich urodzin.

Co sądzisz o ludziach, którzy przechodzą na Twój koncert, nagrywając go i wrzucają filmy do sieci?

To zabawne, czasami żartuję sobie z tego na scenie. Mówię do trzymających telefon: „- Moglibyście przestać?”. Mnie to nie przeszkadza, ale denerwuje siedzących czy stojących obok.

Oglądając całe show na ekranie telefonu, to wyjątkowo wkurzające. Nikt zresztą nie ogląda tych filmów, które później wrzucają na YouTube'a. Ostatnio powiedzianym nagrywającym: „- W sieci są już tysiące klipów z moich koncertów, wasze małe filmy nie wniosą niczego nowego”. Dla mnie takie zachowanie jest całkowicie bezsensowne.

Czy uważasz, że social media są przydatne? Wspomniałeś kiedyś, że ludzie zachowują się przez nie coraz bardziej pasywnie.

To prawda. Ludzie mają problem z wejściem w wyższy stan zaangażowania. Część problemu to zbyt dużo treści w internecie – za dużo muzyki, filmów, wiadomości, pornografii. O czymkolwiek pomyślisz – w internecie jest tego po prostu za dużo. Mam ten sam problem – jeśli zaczynasz oglądać coś na YouTube, twoja uwaga od razu ucieka na pasek boczny z propozycjami kolejnych klipów. Mimo że wybrałeś jeden film, klikasz już na kolejny. Największym problemem jest ciągłe bombardowanie kontentem. Tak naprawdę kończymy nie oglądając niczego w całości. Mam ten sam problem i myślę, że każdy tak ma. Brak głębszego zaangażowania się w treść to poważny kryzys.

Biznes muzyczny też się zmienił. Artysty rezygnują z wydawania płyt i stawiają na regularne wrzucanie nowych teledysków na YouTube'a.

To zależy od gatunku muzycznego. Gdybym był artystą hip-hopowym, nie widziałbym sensu wydawania płyt. Tacy słuchacze nie słuchają całych albumów, tylko playlist na Spotify. Biorą jedną piosenkę z całej płyty, a reszty nie słuchają. W przypadku rocka jest zupełnie inaczej, tworzę muzykę koncepcyjną. Moja publiczność nadal jest zainteresowana ideą opowiadania jednej historii w trakcie trwania całego krążka.

Traktuję album jak powieść czy film, coś, do czego trzeba usiąść i przeczytać od deski do deski. Jeśli byłbym artystą popowym czy hip-hopowym, działałbym inaczej i nie widziałbym powodu, by tworzyć całą płytę.

Czy istnieją instrumenty, na których nie potrafisz grać? Próbowałeś, ale stwierdziłeś „nie, to nie dla mnie”?

Myślę, że potrafię wydobyć dźwięk ze wszystkiego. Bycie muzykiem w XXI wieku jest o tyle dobre, że mamy komputerowe narzędzia. Dzięki nim umiemy grać na instrumentach i śpiewać, mimo że tak naprawdę nie potrafimy. Próbowałem nauczyć się grać na skrzypcach, ale poddałem się. To bardzo trudne. Kocham ich dźwięk, ale możesz brzmieć dobrze dopiero po kilku latach gry.

Nie założyłeś rodziny. Dlaczego, przez karierę muzyczną?

To nie była decyzja, to wynikało podświadomie. Nie postanowiłem jednego dnia: rezygnuję z rodziny i będę profesjonalnym muzykiem. Po prostu zadeedykowałem muzyce swoje życie. Nie mam potrzeby założenia rodziny. Nie żałuję takiego obrotu spraw czy tego, że nie mam dzieci. Myślę, że moje wybory były słuszne. Mam pięćdziesiąt lat i na nic nie jest za późno, ale nie sądzę, bym do tej pory podejmował błędne decyzje. Warto zdać sobie sprawę z tego, że każdy wybór zamyka inne furtki.

Rozmawiał Marcin Obłocha, współpraca: Michał Kazuła
MUZYKA LEGENDARNA, czwartek, godz. 21:00 (po-wtórka w niedzielę o 13)

DDA NOWA WROCLAWSKA SUPERGRUPA

DDA to nowa energia na wrocławskiej scenie muzycznej, ale zespół tworzą osoby dobrze znane z innych przedsięwzięć. Grupa powstała z inicjatywy Sida, gitarzysty zespołu Hurt, twórcy słynnego przeboju „Zaloga G”. Frontmanką i wokalistką grupy jest znana z Błędnych Loków charyzmatyczna i nieokiel-znana Agata Polic, na perkusji

gra Kuba Regulski (Hurt), a na basie Kacper Katz Dziuba (Trzynasta w Samo Południe).

Ewa Zając: Zespół istnieje już od pewnego czasu, ale na dobre usłyszeliśmy o Was dopiero teraz.

Agata: - Wydaliśmy pierwszy singiel „Do baru”. Poza tym, w końcu ustabilizował się nam skład, jesteśmy teraz fajną, zgraną ekipą. Znaleźliśmy odpowiednich ludzi, wcześniej



foto: Paweł Jakubek

mieliśmy z tym trochę pe-pyretii. Dzisiaj mamy dobrą energię na scenie i poza sceną. Wpływ też miała nasza wytwórnia, która zajmuje się promocją singla.

- Sid, Ty jesteś autorem tekstów. Ale słuchając Waszych utworów miałam wrażenie, jakby napisała je Agata.

Sid: - O to właśnie chodziło! Zawsze zastanawiałem się, jak te teksty zabrzmiały, śpiewane przez kobietę, jak zareaguje na nie. Szukałem medium, które te słowa przeniesie z największą wiarygodnością.

- Agata śpiewa też zupełnie inaczej niż w Błędnych Lokach, mniej krzyczy.

Agata: - Tak, zdecydowanie! Blade już mi się znudziły po prostu. Kobieta zmienną jest... Sid: - Przede wszystkim diametralnie zmienił się jej głos, jest kobiecy, to inna osoba. Agata: - Dla mnie najważniejsze jest być wiarygodnym i szczerym. Nie robię rzeczy, których nie czuję, które mi się nie podobają.

- Spotkałam się z określeniem, że wasza muzyka to elektro punk?

Sid: - Nienawidzę wpychania nas w jakieś szufladki, kategorii, ale można tak powiedzieć. Jest elektronika, więc jest element elektro, jest Agata - jest element punkowy.

MUZYCZNE MIASTO, podcasty, godz. 21:00 (po-wtórka w sobotę o 13:00)
Ewa Zając

Czyste Emocje: ALGIERS ZAANGAŻOWANI NA WŁASNYCH WARUNKACH

O zespole mówi się coraz więcej, zwracając też uwagę na świetne koncerty. W wypadku Algiers niosący się z amerykańskiego Południa miks gospel, punkowej wery i nieszablono potraktowanego soulu, jest tem dla tematów ekonomicznego niedopasowania, segregacji rasowej, policyjnych nadużyć. Nie tylko w studio czy na scenie wypowiadają się z pasją. Podobnie było we Wrocławiu, kiedy frontman i wokalista grupy Franklin James Fischer (FJF) oraz klawiszowiec/basista Ryan Mahan (RM) starali się umiejscić Algiers we własnym kontekście.

Michał Kwiatkowski: Algiers powstało w 2007, a początków zespołu należy szukać zarówno w Londynie, jak i w Atlancie. Od tego momentu minęło 11 lat, a wspomniany okres przyniósł zaledwie dwa albumy. Tylko odległości wpłynęły na tak skromny dorobek?

FJF: Jeżeli mam być szczerzy, to nie myśleliśmy, że kiedykolwiek dojdzie do momentu, w którym będziemy odbywać regularne trasy koncertowe, mając podpisaną umowę z wytwórnią płytową.

Zespół to wypadkowa naszej przyjaźni, wyznawanych wartości, spójnych poglądów politycznych, etyki. Na początku robiliśmy to dla siebie, a w wolnym czasie ćwiczyliśmy i nagrywaliśmy. Ale kiedy jesteśmy podporządkowany pracy na etat, wisi nad tobą widmo kredytu, inne zobowiązania, wtedy o to wszystko nielato. Złazsza jeśli członkowie zespołu

mieszkają w Atlancie, Nowym Yorku i w Londynie. Najczęściej więc wymienialiśmy się plikami.

RM: Moim zdaniem to bardziej skomplikowana sprawa. Początków zespołu raczej nie szukałbym tak daleko w przeszłości. Przyjaźni – OK, ale nie zespół. Zgodą też co do podobnego zapatrywania się na pewne sprawy, zwłaszcza muzykę. Moment narodzin Algiers, będącego czymś więcej niż grupą przyjaciół wymieniących się pomysłami i dzielącymi podobne muzyczne upodobania, to rok 2012 i wypuszczenie singla z utworem „Blood” – chcieliśmy o czymś opowiedzieć i sprawić, by świat o tym usłyszał. Ciśnienie na usta pytanie: dlaczego nagranie 2 płyt zajęło nam 11 lat? Prawda jest taka, że będąc razem jesteśmy całkiem kreatywni. Jeżeli więc przez 11 lat funkcjonowalibyśmy jak prawdziwy zespół – muzyki byłoby zdecydowanie więcej.

FJF: „Blood” była produkcją sfinansowaną w 100% przez nas. Wciąż mieszkaliśmy w trzech różnych lokalizacjach, w dwóch różnych krajach. Z dnia na dzień nie stajesz się zespołem, dla którego codzienną pracą jest regularna praca w studio i trasy koncertowe. Mieliśmy dużo szczęścia, że w 2014 r. Matador Records zaofertowali nam kontrakt płytowy. Od tego momentu wszystko zaczęło się materializować i tutaj zaczyna się etap, w którym ludzie zaczęli utożsamiać Algiers z konkretnym zespołem. Oczywiście, znajdziesz utwory, które sięgają okresu pomiędzy 2007 a 2014 r., ale to już inne kompozycje w porównaniu do ich pierwotnych wersji. „The Cycle/ The Spiral” pochodzi z okresu pomiędzy 2007 a 2011, „Black Eunuch”, „Blood”, „Games” również, ale cała reszta została przez nas stworzona już po podpisaniu kontraktu.

Ponoć „Walk Like a Panther” nardził się podczas koncertów i zapoczątkował pracę nad albumem „The Underside of Power”? Wiemy, że wykorzystaliście w nim głos zamordowanego Freda Hamptona. Ale z jakiego powodu ta postać była dla Was ważna oraz dlaczego i jak postanowiliście o tym fakcie poinformować jego syna?



RM: Podczas trasy staraliśmy się stworzyć nowe piosenki. Potrzebujemy wprowadzenia, od którego rozpoznamy budowę nowej kompozycji, kinowego, ilustracyjnego tematu. Te role mogą też spełniać sample. Wtedy pracowaliśmy nad kilkoma pomysłami i uznałem, że ten głos doda całości większej dramaturgii. „Walk Like a Panther” to dzieło moje i Franklina. Utwór powstał na zapleczu londyńskiego Village Underground. Zapętliliem dość oczywisty beat, a wtedy Franklin chwycił mikrofon i najwyraźniej w świecie wykrzychał do mikrofonu tekst. Zajęło nam to dosłownie 2 minuty. Potem nie pozostało mi nic innego niż dolożyć do tego kawałka wcześniej przygotowane sample, a efekt? Efekt nie tylko nas zaskoczył. Często napędzamy siebie nawzajem. Czasami to ja odpowiadam za linie wokalne, które następnie dopracowuje Frank, czasami to on wpada na pomysł, jak rozpoznać utwór – czy będą to sample czy też żywe instrumenty. Nieustannie wymieniamy się pomysłami. Jak słusznie zauważyłeś, nawiązaliśmy kontakt z synem Freda Hamptona. To, o czym mówił, o przeciwstawieniu się przemocy i godności człowieka, to jego wkład jako działacza i mówcy politycznego. Ważny dla nas – ludzi – ważny dla Algiers, wielorasowego zespołu, którego członkowie dorastali na południu Stanów Zjednoczonych. List, który napisaliśmy i wysłaliśmy jego synowi był najszerszym odbiciem tego, co czujemy. Fred Hamp-

ton Jr. podziękował, że pamięć o jego ojcu przetrwała i została uwieczniona na naszej płycie.

We Wrocławiu zagralscie przed 200 osobami. Czujecie się lepiej przy tak niewielkiej publiczności czy wręcz przeciwnie? Występowaliście jako support Depeche Mode, może więc w przyszłości wolelibyście zapełniać stadiony?

FJF: Chcemy dobrze wykonywać naszą pracę i być dzięki niej rozpoznawalni. Nie mamy żadnych oczekiwań dotyczących statusu Algiers. Jedynie, na czym nam zależy, to działanie na własnych warunkach oraz wzajemna, tworząca inspiracja. Co za tym idzie, powstawanie interesującej sztuki, która odzwierciedlać będzie to, jak postrzegamy świat – jako jednostka, jako część społeczeństwa, w końcu jako człowiek polityczny.

RM: Większość artystów, których słuchamy, tworzyła nie oglądając się na innych, funkcjonując na własnych warunkach. Muzyka była wentylem kanalizującym ich twórcze potrzeby.

Skoro wspomnieliście artystów, podczas rozmowy w NPR powiedzieliście, że „The Underside of Power” to kombinacja Johna Carpentera, prostoty Suicide oraz postpunku charakterystycznego dla PIL. Opis pozostaje aktualny?

RM: Oczywiście. Na albumie znajdziesz elementy charakterystyczne dla ich twórczości, a my jesteśmy zainteresowani ich dokonaniem. Na „The Underside of Power” dzieje się dużo więcej. Jest soul, znajdziesz też elementy nawiązujące do gospelu. Wracając do soulu, chodzi mi o okres klasyczny, Motown i Stax lat 1960. Staraliśmy się też sięgnąć do kontekstu politycznego tamtych czasów, często leżącego u podstaw tej muzyki. Algiers od zawsze charakteryzowało poszukiwanie powiązań pomiędzy z pozoru nieprzystającymi do siebie grupami społecznymi. W teledysku do „Blood” widzimy artystów, którzy wydają się być doklejeni na siłę do reszty. Ale to przecież oni stymulują ludzi do działania. To właśnie nam przyswieca: pokazanie, że mówcy i wszelkiego rodzaju wizjonerzy przez dziesięciolecia mocno wpływali na społeczeństwo.

Nazwa Algiers jest znacząca, odnosi się do Algierii lat 1960, do ówczesnej rewolucji. Ale czy nie jest problematyczna? Czy Wasza obecność na scenie, Wasze teksty nikomu nie przeszkadzają?

RM: Przekaz Algiers jest aut-

tentyczny, wynika z naszego stosunku do świata oraz określonego postrzegania przeszłości. Duzo osób chwali poszczególne piosenki, choć faktem jest, że pewnie nie wszyscy zdają sobie sprawę, że pochodzimy z południa Stanów, a związek ten mocno wpływa na naszą twórczość. Algiers to celowy zabieg. Odnosi się nie tylko do Południa, reprezentuje cały świat. Nazwa zespołu niesie ze sobą określone skojarzenia, historię tak skomplikowaną, przyobleczoną krwią, przemocą, ale dzięki temu stanowi inspirację dla ludzi rozsiansych po całym świecie. Uwielbiamy koncertować poza granicami Stanów. Nazwa stawia nas w określonym kontekście.

W „Cleveland” poruszyliście problem zabitych przez policję Afroamerykanów. Jaki był stosunek rodzin, bliskich ofiar do tego utworu?

FJF: Przede wszystkim problem jest dużo poważniejszy niż kilka przypadków, o których opowiadam w tekście. Np. po jednym z koncertów spotkałem rodzinę Erica Garnera, którego imię nie pada w „Cleveland”... Kiedy za sprawą mediów myślisz o tragediach tego typu, nie mówiąc już o tym, kiedy dotyka to kogoś bliskiego – w pierwszym momencie przeżywasz to i utożsamiasz się z poszkodowaną stroną, ale dość szybko całe zająście odchodzi w niepamięć. Oni natomiast będą się z tym borykać całe życie, nie dane im będzie usmierzenie bólu. Czymś takim o takich ludziach, o tym, co im się przytrafiło i okazało się, że nie były to powszechnie znane historie, a powinny ujrzeć światło dzienne. Dlatego opowiedziałem o tym w „Cleveland”. To symbol ludzi, o których nie wiemy, a którzy zginęli w podobnych okolicznościach. Nieestety, historie zebrane w „Cleveland” zostały przez władze zamiecione pod dywan, a ten utwór ma unaocnić, że korupcja jest wszechobecna, nawet w Stanach, gdzie nawet największa hipokryzja uchodzi płazem.

RM: Spadła na nas krytyka po ukazaniu się tej piosenki. Ludzie zarzucili nam, że nie wspomnieliśmy o wszystkich, o których powinniśmy. Nasza muzyka to próba sygnalizacji tego procederu, pozostawiająca pewną dozę niedopowiedzenia. Nie wszystko można zwerbalizować.

FJF: Celem sztuki jest opisanie otaczającego cię świata niekoniecznie za pomocą konwencjonalnych pojęć. Piosenka wywołuje w tobie konkretne odczucia, budzi określone emocje – to najbardziej sprawcza ze wszystkich dziedzin sztuki! I o to właśnie chodzi. Gdyby nie emocje, nie tworzyłbym muzyki, pewnie zająłbym się pisaniem.

Michał Kwiatkowski NIE BYŁO GRANE, środa, 21:00





WOJEWODA DOLNOŚLĄSKI

zapraszają

Plac Wolności we Wrocławiu
10 listopada 2018, godz. 12:00

WSTĘP WOLNY



Dla każdego pamiątkowa
przypinka i śpiewnik!

WSPÓLNIE ZAŚPIEWAJMY DLA NIEPODLEGŁEJ

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ